

Katarzyna Masloch klasa II Hum.
Magdalena Kordylewicz klasa II Hum.
I LO Nakło

Liczba człowieka

I

- Mamo, mamo!

Krzyk małej Alicji zbudził ją ze snu. Po chwili elektroniczny budzik przerywanym sygnałem oznajmił, że nadeszła 6:20.

- Mamo! MAMO!

Izabela nie zdążyła jeszcze wyłączyć budzika, a już do sypialni wbiegła potargana czteroletnia dziewczynka i wskoczyła na łóżko.

- Mamo, miałam zły sen! - krzyknęła, przytulając się do Izabeli. - Ten pan..., ten zły pan chciał... i mnie gonił.

Matka przycisnęła do siebie dziecko, jakby to mogło ochronić je przed zmorą z nocnego koszmaru.

Próbowała uspokoić dziewczynkę, gładząc ją powoli po włosach i zapewniając, że sen nie przedostanie się do rzeczywistości. Nie może, skoro tego dnia mają odbyć pierwszą pielgrzymkę w ich życiu – do Częstochowy.

Był 15 lutego. Promienie słońca odbijały się od leżącego wszędzie śniegu i oświetlały grupę 35 osób zgromadzonych w pobliżu autobusu. Część z nich próbowała ogrzać się, przestępując z nogi na nogę i pocierając ręce okryte rękawiczkami. Inni stali w niewielkich grupach i rozmawiali, zastanawiając się, jak długo przyjdzie im jeszcze czekać na drugiego kierowcę autobusu.

- Moi drodzy, nie ma się co denerwować - uspokajał ich opiekun, ksiądz Krzysztof. - Musimy mieć dwóch kierowców, takie są wymogi regulaminu. A pan Waclaw na pewno za chwilę się zjawi i wyjedziemy na Jasną Górę.

Izabela nerwowo spojrzała na zegarek. 7:20. „Gdzie on jest? - pomyślała. - Powinniśmy wyjechać już 10 minut temu. I po co tak się spieszyłam?”

- Mamusiu - usłyszała szept Alicji - ja chcę już jechać.

Jakaś kobieta ciężko westchnęła. Izabela odwróciła się i spojrzała na nią z wyrzutem. „Czy ona nigdy nie miała dzieci? - pomyślała. - Przecież wiadomo, że małe dziewczynki zawsze, i to zawsze, marudzą. A może ma tylko synów? No tak, z Ksawerym nie było takich problemów. On jest taki grzeczny, miły, dobrze się uczy. Tylko ci koledzy...”

Izabela kolejny raz spojrzała na stojącą niedaleko starszą kobietę. Miała krótkie, siwe włosy i ciemne oczy. W dłoniach ścisnęła beżową torebkę i zimowy kapelusz o podobnym odcieniu. Kobieta patrzyła na stojącego obok niej mężczyznę i spokojnie przytakiwała. Wyglądała, jakby go w ogóle nie słuchała.

- Moi drodzy pielgrzymi - odezwał się znowu ksiądz Krzysztof - przed nami długa droga do Częstochowy. Uzbrójmy się więc w cierpliwość. A czekając na pana kierowcę, pomódlmy się o szczęśliwą podróż. Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna...

Wśród zgromadzonych rozległ się niewyraźny pomruk. Młodzież zaśmiała się i z ironicznym uśmiechem wznowiła przerwana na chwilę rozmowę.

- Mamusiu - szepnęła Alicja - długo jeszcze?

- Niedługo, kochanie. A teraz pomódlmy się razem z księdzem.

- Ale ja już się dzisiaj modliłam. Rano, tak jak mnie uczyłaś.

- Wiem, kochanie, ale wtedy modliłaś się o zdrowie mamusi. Teraz pomódl się o szczęśliwą wycieczkę. Dziewczynka posłusznie powtórzyła za pozostałymi: „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się...”

- Módl się za kierowcę, żeby wreszcie przyszedł - powiedział mężczyzna stojący obok Izabeli. Był to prawdopodobnie mąż kobiety, której wcześniej się przypatrywała.

W tej chwili, tak jakby Opatrzność wysłuchiwała słów starszego mężczyzny, zjawił się pan Waclaw, drugi kierowca autobusu.

- Mamo, mamo! - kolejny raz krzyk czteroletniej Alicji obudził Izabelę.

Nie pamiętała, kiedy zasnęła. Coś jej się śniło, ale co - tego także nie pamiętała. Wiedziała, że było przeraźliwie zimno, a autobus... Co z autobusem? Izabela pokręciła z niedowierzaniem głową. „To był tylko sen, a sny nie mają prawa przedostać się do rzeczywistości” - pomyślała.

Przecierając zaspane oczy, rozejrzała się dookoła. Siedziała w autobusie jadącym do Częstochowy. Pielgrzymka..., płacząca Alicja, milczący Ksawery, ksiądz odmawiający modlitwę i spóźniający się kierowca. Siedzący za nią mężczyzna od czasu do czasu szeleścił stronami gazety, którą właśnie czytał. Jego żona głośno chrapała, oparłszy głowę na ramieniu męża.

- Mamo - szepnęła mała Alicja, z płaczem przeciągając samogłoski - boli mnie.

- Co cię boli, kochanie? - zwróciła się do niej Izabela.

- Brzuszek... i główka.

Izabela się uśmiechnęła. Alicja widząc to, zaczęła głośno płakać.

- Już dobrze - uspokajała ją matka. - Już dobrze, kochanie

Izabela wstała, by pójść do organizatorów, ale dziewczynka objęła rączkami jej nogę.

- Mamusiu, nie zostawiaj mnie.

- Pójdę tylko po pana Konrada i zaraz wrócę.

- Mamusiu, nie zostawiaj mnie - powtórzyła Alicja.

Izabela z ciężkim westchnieniem opadła na fotel. Od płaczu dziewczynki rozboleła ją głowa. Z głośników rozległa się pieśń wychwalająca Matkę Boską. Większość pielgrzymów podjęła zaintonowaną nutę i cały autobus wypełnił się pobożnymi słowami.

- Panie Konradzie! - Izabela próbowała przekrzyczeć śpiewających. - Panie Konradzie, może pan tu na chwilę podejść?!

- Oczywiście - usłyszała głos przewodnika. - Już idę.

Alicja wciąż płakała. Izabela nie mogła jej uspokoić.

- Co się stało? - zapytał z uśmiechem i pogłaskał dziecko po głowie.

- Mała płacze już od godziny, a ja nie mogę jej uspokoić - powiedziała zdenerwowana Izabela. Jej głos nikał wśród chóru fałszujących pielgrzymów. - Kiedy się zatrzymamy?

- Za dziesięć minut.

Alicja przestała płakać, jednak wciąż powtarzała, że boli ją brzuch.

- Chyba wysiadziemy, panie Konradzie. Znaczy... Na pewno wysiadziemy, ale raczej nie będziemy jechać dalej.

- Dlaczego? Przecież razem temu na pewno zaradzimy...

Mała Alicja znowu zaczęła płakać. Pielgrzymi zakończyli jedną pieśń i zabierali się do rozpoczęcia następnej.

- Och, nie, proszę pana - powiedziała Izabela, korzystając z chwili ciszy. - Lepiej... Alicja musi zostać zbadana przez lekarza. Nie chcę też przeszkadzać innym. Jadą przecież do Częstochowy, by nad czymś pomyśleć. Potrzebują ciszy i skupienia.

Pasażerowie rozpoczęli kolejną pieśń. Najgłośniej było słycać niski głos księdza Krzysztofa.

- Jest pani pewna? - zapytał przewodnik. - Nie jest przecież tak źle...

- Mamusiu, boli - zawodziła dziewczynka.

- Jestem pewna, panie Konradzie. Mój brat mieszka niedaleko. Zadzwońię do niego i po nas przyjedzie. Na pewno przyjedzie - dodała.

- Skoro jest pani pewna, pani Izabelo, niech zostanie pani na przystanku.

Izabela wyszła wraz z kilkunastoma innymi osobami. Jej córka głośno pociągała nosem i wycierała łzy wierzchem dłoni. Usiadły na drewnianej ławce, obok której kierowca postawił ich bagaże. Kobieta ukryła twarz w dłoniach. Starła się nad sobą panować.

Po piętnastu minutach pozostałe osoby wróciły do autobusu i zajęły swoje miejsca. Matka i córka spojrzwały w stronę pojazdu i pomachały pielgrzymom na pożegnanie. Dziewczynka uśmiechnęła się przez łzy. Chwilę później samochód ruszył. Gdy zniknął za zakrętem, Izabela wyjęła telefon komórkowy i wykreśliła numer swojego brata.

II

Życie księdza zaczyna się bardzo wcześnie. Pobudka o godzinie piątej, codzienna poranna modlitwa... Ksiądz Krzysztof, młody duchowny, zawsze modlił się bardzo żarliwie. Tego dnia robił to również za powodzenie pierwszej prowadzonej przez niego pielgrzymki na Jasną Górę. Był bardzo szczęśliwy, gdy tydzień wcześniej sam proboszcz powierzył mu tą misję. Po odprawieniu mszy porannej,

młody duchowny szybko się przebrał, zabrał swój plecak i ruszył w stronę stojącego przed kościołem autobusu, przy którym stało już kilka osób przestępujących z nogi na nogę.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! - powitał ludzi.

- Na wieki wieków amen, proszę księdza - odpowiedziała mu staruszka stojąca pośród młodzieży.

Duchowny wyłowił wzrokiem kierownika wycieczki, pana Konrada, który usiłował się gdzieś dodzwonić. Był coraz bardziej podenerwowany.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Konradzie - powiedział do niego. - Coś się stało?

- Na wieki wieków, księże Krzysztofie... Od dwudziestu minut próbuję dodzwonić się do drugiego kierowcy. Dawno powinien tu być! O, o wilku mowa.

Jakiś pulchny mężczyzna w średnim wieku biegł w stronę zbiorowiska. Gdy wreszcie dotarł na miejsce, szybko przeprosił za spóźnienie i chwiejnym krokiem pokonał schodki autobusu, usiłując uspokoić oddech. Ludzie weszli za nim, zajęli miejsca, pozdejmowali kurtki. Ksiądz Krzysztof położył swój plecak na siedzenie i wziął mikrofon.

- Drodzy parafianie! - powiedział lekko zachrypniętym głosem. - Bardzo się cieszę, że możemy w tak wielkim gronie odwiedzić Jasną Górę! Módlmy się, aby Bóg raczył nam dojechać szczęśliwie.

Potem podał sprzęt kierownikowi grupy, który zaczął czytać regulamin pielgrzymki. Duchowny wyciągnął różaniec i, jak co dzień, odmówił modlitwę do Matki Boskiej. Podróż nie dłużyła mu się ani trochę.

Rozmawiał z Konradem, czytał gazetę, którą ze sobą zabrał. W pewnym momencie kierownik grupy został zawołany przez jedną z uczestniczek. Gdy wrócił, duchowny zapytał go:

- Stało się coś?

- Nie... Jedna z pań opuści naszą pielgrzymkę. Dziecko źle się poczuło.

- Aha... - odparł ksiądz i zaczął się modlić. - Boże, spraw, by to dziecko było zdrowe.

Kolejny odcinek drogi duchowny spędził na drzemce. Miał bardzo dziwny sen. Tak wyraźny i nadzwyczaj realistyczny. Był w Częstochowie. Widział mury otaczające Jasną Górę, dotykał ich, czuł chłód cegieł i betonu. Mógł wejść na teren kościoła, modlić się w jego wnętrzu, oglądać okoliczne straganiki... Nagle opanowało go dziwne poczucie osamotnienia. Rozejrzał się. Nigdzie nie widział członków grupy, jednak wcale się tym nie przejął.

Obudził się dość gwałtownie. Poczł delikatnie perlące się na jego czole kropelki potu. Poluźnił nieco kolaratkę.

- Zły sen? - zapytał siedzący obok niego pan Waław.

- Ch... chyba nie - wyjąkał duchowny.

- Ksiądz się nie martwi, już niedaleko.

Nagle coś huknęło i autobus stanął. Kierowca na próżno usiłował ruszyć samochód. Z tyłu pojazdu popłynął pomruk strachu.

- Parafianie! Bez paniki! - powiedział duchowny przez mikrofon. - To tylko chwilowa niedogodność!

„Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...” - pomyślał.

Autobus stał na środku niestrzeżonych torów kolejowych. Jeden z kierowców próbował otworzyć drzwi. Nie udało się. Uczestnicy w pośpiechu ubierali kurtki, ponieważ ogrzewanie przestało działać. Konrad głośno uspokajał pasażerów.

- ZGINIEMY! - rozległ się donośny wrzask.

Ksiądz Krzysztof zaczął się mimowolnie trząść. Wyskoczył ze swojego miejsca i z różańcem w ręku stanął przy przedniej szybie. Nerwowo szeptał wszystkie modlitwy, jakie znał.

„Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi...”

Tłum zaczął napierać na okno, aż w końcu ktoś rzucił czymś, rozbijając szło.

„Panie, chroń nas od złego.”

Ksiądz z gracją gimnastyka wyskoczył przez zrobione przejście i gdy tylko dotknął bezpiecznego terenu, ukląkł i zaczął się głośno modlić, uderzając czołem o ziemię.

Jeden z młodych zaczepił duchownego.

- Proszę księdza, proszę księdza! - szturchał go. - Proszę, niech nam ksiądz pomoże! Trzeba pokierować ludzi w bezpieczne miejsce.

Mężczyzna raptownie wstał i zaczął przeprowadzać wyskakujące osoby.

- Proszę księdza, czym my zawiniliśmy! - lamentowała jakaś staruszka.

Ksiądz Krzysztof usiadł obok niej. Położył rękę na jej ramieniu i spojrział w niebo.

- Ależ niczym. Bóg na pewno wie, co robi, doświadczając nas w ten sposób...

III

Był chłodny poranek. Ludzie powoli wygrzebywali się z łóżek, by po kilkadziesiąt minutach pospiesznie wyjść do pracy. Na jednej z ulic stał autobus powoli wypełniający się ludźmi. Na przedniej szybie kierowca umieścił tabliczkę z napisem „PIELGRZYMKI - JASNA GÓRA”. Do pojazdu wszedł między innymi pan Hipolit Zdrojewski z żoną Witosławą. Mężczyzna był emerytowanym wojskowym pamiętającym czasy drugiej wojny światowej. Jego siwe, przerzedzone włosy kontrastowały z bujnym wąsem, a prostokątna, pocięta bliznami i zmarszczkami twarz sprawiała wrażenie nieustannego gniewu. Kobieta miała włosy nieco ciemniejsze niż mąż i łagodniejszą od niego twarz.

Gdy zajęli swoje miejsca, pan Hipolit otworzył gazetę.

- Drodzy parafianie! - popłynął delikatnie zachrypnięty głos z głośników. - Bardzo się cieszę, że możemy w tak wielkim gronie odwiedzić Jasną Górę! Módlmy się, aby Bóg raczył...

-... nam tu nie zwariować - dokończył były żołnierz. - Nie wiem, po co tu jestem.

- Kochanie, nie bluźnij! - powiedziała pani Witosława. - Jedziemy do szczególnego miejsca.

- Phi, kościół jak każdy inny. Bóg Bogiem, ale kościoły budują na jedno kopyto.

Gdy autobus ruszył, rozmowa małżeństwa ucichła. Z radia płynęły pobożne pieśni, od czasu do czasu słychać było przytłumione głosy młodzieży. Pan Hipolit uparcie nie odrywał oczu od gazety, a jego żona zasnęła ze zwieszoną na ramię męża głową. Podróż miała trwać maksymalnie dziesięć godzin. Zdrojewski czytał o wydarzeniach w polityce i na świecie, z roziskrzonymi oczami wertował oferty sprzedaży samochodów. „Nad tym warto by się zastanowić... - myślał. - Co to za cena?! Ludzie na głowy poupadali?!”

Po około godzinie jazdy dziecko siedzące przed mężczyzną zaczęło płakać. Najpierw cichutko, potem coraz głośniejsze. Siedząca obok matka próbowała wszelkich sposobów, by je uspokoić. Jej wysiłki spełzyły jednak na niczym. Kobieta zawołała do siebie przewodnika grupy.

- Mała płacze już od godziny - powiedziała zdenerwowana matka, gdy podszedł do niej pan Konrad. - Kiedy się zatrzymamy?

- Za dziesięć minut.

Dziewczynka przestała płakać, jednak ciągle pociągała nosem i cichutko zawodziła. Pan Hipolit starał się skupić na treści artykułu, lecz dobiegające z przodu odgłosy go rozpraszały. Obrócił głowę w lewo i spojrzał przez okno. Wszędzie rozciągało się pole pokryte grubą warstwą śniegu. Bezchmurne niebo przypominało mu wiosnę trzydziestego dziewiątego roku. Śpiewały ptaki, szumiały drzewa, a on był młody i pełen nadziei. Nagle poczuł gwałtowne szarpnięcie. Autobus zatrzymał się na przydrożnym parkingu. Pan Hipolit zdecydowanym ruchem głowy odgwałtował wspomnienia. Kolejny raz spojrzał przez okno.

Matka z dzieckiem na rękę wysiadła. Kierowca pomógł jej wypakować bagaż i postawił go obok stojących niedaleko drewnianych ławek. Kobieta, odgarnawszy śnieg, usiadła na jednej z nich. Pomachała przyjaźnie na pożegnanie. Autobus ruszył. Bez niej. Nagle obudziła się pani Witosława.

- Och! Przysnęłam? Co się stało? - zapytała.

- Matka z dzieckiem, którzy siedzieli przed nami, wysiedli - burknął jej mąż. - Śpij, jeszcze kawał drogi.

Kobieta jak za dotknięciem magicznej różdżki zasnęła, a pan Hipolit wrócił do lektury.

Po kilku godzinach wycieczka zaczęła mijać znaki mówiące, ile kilometrów pozostało do Częstochowy. Zdrojewski, osłoniwszy twarz gazetą, liczył barany. Nagle coś zgrzytnęło i autobus stanął. Mężczyzna wyrwał spod gazety przez okno. Pojazd stał na środku torów kolejowych. Odruchowo zaczął budzić żonę. Z głośników popłynął lekko zachrypnięty głos.

- Parafianie! Bez paniki! To tylko przejściowa niedogodność.

Kierowca usilnie próbował ruszyć, ale wyglądało na to, że silnik odmówił posłuszeństwa. Ogrzewanie przestało działać. Do wnętrza zaczęło wdzierać się porażające zmysły, lodowate powietrze. Po kabinie przeszedł pomruk zdenerwowania. Ludzie trzęśli się z zimna, niektórzy z obawą wyglądali przez okna. Szyby zamarzały, powoli pojawiający się lód zaskrzypiał przy drzwiach. Co kilka sekund słychać było dziwny chrzęst.

- Wiciu! Wstawaj no! - pan Hipolit starał się obudzić żonę.

- Co to? Manewry? - szepnęła zaspana staruszka.

- Ja tej, manewry! Autobus stanął! Jesteśmy...

- Jesteśmy już na miejscu? - przerwała mężowi kobieta.

- Kobieto, daj mi dokończyć! Jesteśmy na torach!

Kierownik wycieczki zarządził szybką ewakuację. Drzwi zamarzły, jedyne, co pozostało, to wybić przednią szybę. Lada moment mógł nadjechać pociąg.

- Spokojnie, moi drodzy, bez paniki! - krzyczał kierownik grupy. - Jeżeli będziemy postępować racjonalnie, na pewno...

- ZGINIEMY! - wrzasnął ktoś z tyłu autobusu.

Młodzi zaczęli przepychać się w stronę przedniej szyby. Pan Hipolit ruszył za nimi. Zdecydowanym ruchem odepchnął od siebie pozostałych i stanął przy szybie. Jakiś czas przyglądał się nerwowo odległości, która dzieliła ich od bezpiecznej ziemi. Tłum zaczął na niego napierać, młodzież przepychała się coraz gwałtowniej. Ktoś chwycił młotek i rozbił szkło. Kilka osób natychmiast wyskoczyło z samochodu. Obok resztek szyby pozostało jednak wielu, którzy bali się opuścić autobus w tak niekonwencjonalny sposób. Wszyscy się przepychali.

Stary wiarus wciąż stał przy rozbitej już szybie. Jego żona, z pomocą dwóch młodszych mężczyzn, bezpiecznie wyszła z pojazdu. Nagle ktoś mocno popchnął byłego żołnierza.

- Pospiesz się, dziadku! - warknął.

Pan Hipolit przeleciał przez okno i uderzył głową o beton. Natychmiast podbiegła do niego jego żona. Z czoła starszego pana pociekła strużka krwi. Czuł, że słabnie.

- Ratunku! Pomocy! Mój mąż! - krzyczała pani Witosława. - Kochanie, proszę, mów do mnie...

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, nim zamknęły mu się powieki, była zapłakana twarz ukochanej.

IV

Autobus zatrzymał się na przydrożnym parkingu. Drzwi otworzyły się i z samochodu wysiadło kilkanaście osób. Przeważnie byli to ludzie młodzi, w wieku około trzydziestu lat. Wśród nich była kobieta średniego wzrostu. Jej brązowe włosy nieznacznie wystawały spod granatowej czapki. Obok niej szła czteroletnia dziewczynka, która co jakiś czas pociągała nosem i wycierała oczy wierzchem dłoni okrytej brązową rękawiczką. Pan Konrad, przewodnik i organizator pielgrzymki na Jasną Górę, przyglądał się im, stojąc niedaleko drzwi autobusu. Chciał jeszcze podejść do kobiety i zapytać, czy jest pewna swojej decyzji, jednak obok niego pojawił się pan Waław.

- Jak się pan czuje? - zapytał kierowca. - Za chwilę odjeżdżamy, proszę się przygotować.

Konrad wszedł do autobusu i usiadł obok księdza Krzysztofa. Widział, jak pasażerowie wracają na swoje miejsca. Gdy wszyscy, oprócz matki z dzieckiem, siedzieli na opuszczonych piętnaście minut wcześniej fotelach, sięgnął po mikrofon.

- Drodzy pielgrzymi - zaczął - dwie uczestniczki zmuszone były opuścić naszą wycieczkę. Proszę się nie martwić, nic poważnego się nie stało. Za kilka chwil wyruszymy w dalszą drogę. A teraz oddaję głos księdzu Krzysztofowi.

- Parafianie - w głośnikach rozległ się zachrypnięty głos duchownego - pomódlmy się za tą matkę i dziecko. Niech Bóg ma ich w swojej opiece. Ojciec Nasz, któryś jest w Niebie...

Chór pielgrzymów zgodnie powtórzył za księdzem słowa modlitwy.

Konrad opadł na fotel i próbował zasnąć, jednak panujący w autobusie hałas nie pozwalał mu całkowicie oderwać się od rzeczywistości. „Trzeba było zabrać odtwarzacz - pomyślał. - Ale jak to by wyglądało - kierownik pielgrzymki ze słuchawkami na uszach? Zaraz pomyślano by, że nie obchodzi mnie wycieczka, tylko ja sam. A może tak właśnie jest? Traktuję to wszystko jedynie jak pracę, którą muszę wykonywać ze względu na brak innej... Nie, nie może być! Przecież chciałem to robić. Nie po to traciłem kilka lat na studiach, by teraz... Traciłem? No tak, trzeba uważać na słowa. Może należało zabrać jakąś książkę? Tak, ale ostatnio przeglądałem same przewodniki turystyczne. *1000 miejsc w Polsce, które warto w życiu zobaczyć, Spacerownik po warszawskich cmentarzach, Polska. Podróże z historią. Przewodnik turystyczny...*”

Konrad spojrział przez okno. Od czasu do czasu mijali tablice informujące, ile kilometrów pozostało do Częstochowy. Mężczyzna westchnął. Jeszcze ponad pięć godzin jazdy. Znużony spojrział na siedzącego obok księdza Krzysztofa. Spał. Konrad skierował wzrok na szybę, postanawiając obserwować krajobraz co najmniej przez dwie godziny. Śnieg pokrywający pola delikatnie lśnił od promieni słonecznych. Na horyzoncie rysował się ciemnozielony las kontrastujący z błękitem bezchmurnego nieba i bielą krajobrazu. Po chwili oczom Konrada ukazało się zamrożone jezioro, które szybko zniknęło zastąpione przez mały szarobury domek. Kilka minut później budynki całkowicie wyparły sielski widoczek. Autobus przejeżdżał przez małe miasteczko.

- Tak, byłem tu przed laty - Konrad usłyszał głos starszego mężczyzny. - Mili ludzie, tylko trochę zacołani. Przewodnik wycieczki nie przysłuchiwał się dalszym słowom pasażera. Starał się nigdy nie oceniać ludzi, zanim ich nie pozna. Osady innych mogły być mylące. Szczególnie, jeśli opierały się na stereotypach.

Samochód dalej podążał wyznaczoną wcześniej trasą. Po kolejnych dwóch godzinach jazdy miał zatrzymać się przy restauracji „U Idziego”, gdzie Konradowi udało się zarezerwować obiad dla trzydziestu siedmiu osób. Powinien uprzedzić kierownika, że dwie osoby nie będą uczestniczyć w posiłku. Mężczyzna

sięgnął do kieszeni, by wyjąć telefon komórkowy.

Nagle autobus gwałtownie zahamował. Coś zgrzytnęło. Pojazd pokonał jeszcze pięć metrów drogi, po czym definitywnie się zatrzymał. Z tyłu samochodu dało się słyszeć pomruk niezadowolenia. Konrad wstał i podszedł do kierowcy.

- Co się stało, panie Andrzeju? - zapytał cicho.

- Właściwie to nic - odpowiedział zdziwiony. - Paliwo jest, wszystko działa, tylko silnik nagle zgasł. No, niech pan spojrzy, wszystko w normie...

- Może pójde sprawdzic? - zaproponował drugi kierowca, pan Waclaw. - Jędreku, otwórz drzwi.

- Szlag by to! Zacięło się - powiedział po chwili pan Andrzej, uderzając otwartą dłonią w kierownicę. - Nie wyjdziemy.

- Jak to „nie wyjdziemy”? - Konrad był coraz bardziej przestraszony.

- Parafianie! Bez paniki! - z głośników popłynął głos księdza Krzysztofa. - To tylko chwilowa niedogodność! „Myśl racjonalnie, myśl racjonalnie - kierownik pielgrzymki próbował uspokoić rozstrojone nerwy. - Myśl racjonalnie! Jesteśmy zamknięci w autobusie, na środku torów kolejowych, lada moment nadjedzie pociąg, a wtedy... Myśl racjonalnie! Mamy jeszcze czas, dużo czasu.”

Ogrzewanie przestało działać. Do wnętrza zaczęło wdzierać się porażające zmysły, lodowate powietrze. Na szybach powoli osiadały igielki mrozu. Pasażerowie pospiesznie zakładali kurtki i okrywali się szalikami. „Po pierwsze: Zapewnij bezpieczeństwo uczestnikom wycieczki - Konrad przypomniał sobie zasady zawarte w poradniku *Jak zostać przewodnikiem turystycznym w dziesięć dni*. - Po drugie: Zapewnij komfort podróży. Spraw, by uczestnicy zobaczyli w tobie człowieka. Po trzecie: Nawiaź kontakt z uczestnikami. Używaj zwrotów potocznych, nie naukowych. Bądź dla uczestników przyjacielem, nie wrogiem, wtedy nie zauważą, że się ich boisz. Po czwarte... Co było czwarte? No tak... Używaj rozumu, nie serca!”

Konrad złapał mikrofon, ale ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie mógł go utrzymać. Zdenerwowany zaklął cicho.

- Spokojnie, moi drodzy, bez paniki! - krzyknął. - Jeżeli będziemy postępować racjonalnie, na pewno...

- ZGINIEMY! - wrzasnął ktoś z tyłu autobusu.

Konrad się uśmiechnął. Wraz z tym żartem całe napięcie zniknęło. Mężczyzna rozluźnił się i głęboko odetchnął.

Nagle coś przeleciało mu obok głowy i rozbiło przednią szybę. Szkło rozsypało się na drobne kawałeczki. Konrad spojrział w dół przez pozostałości okna. Wysokość dzieląca ich od podłoża była zbyt wielka, by starsi ludzie mogli bezpiecznie opuścić autobus.

- Uwaga! - starał się, by wszyscy go usłyszeli. - Z powodów technicznych nie możemy jechać dalej. Nie wiem, czy będziemy w stanie kontynuować naszą podróż.

Z tyłu autobusu dało się słyszeć głośne narzekania i krzyki. Ktoś próbował przepchnąć się przez tłum młodzieży kłębiący się w przejściu.

- Zarządzam ewakuację - ciągnął. - Ludzie starsi na końcu. Proszę się uspokoić, każdy zdąży opuścić pojazd. Mimo tych słów wszyscy pasażerowie starali się jak najszybciej dostać do jedyne go wyjścia. Konrad usłyszał głuchy odgłos uderzenia. Ludzie coraz silniej parli do przodu. Ksiądz Krzysztof stał obok resztek okna i kurczowo ścisnął w dłoniach czarny różaniec. „Jeżeli nasz ocalisz, Panie - pomyślał przewodnik - nigdy więcej nie powiem złego słowa na Kościół, ani nie będę złorzeczył księżom, ani nikomu innemu... i przestanę kląć.”

Kilka osób już opuściło autobus. Na razie wszystko szło w dobrym kierunku. Młodzież wyskoczyła pierwsza, tuż za nią osoby w średnim wieku. W autobusie pozostało jednak dużo ludzi starszych, którzy bali się opuścić samochód. Konrad wziął głęboki wdech, ugiął kolana i wyskoczył, mocno odbijając się od podłogi.

Powietrze wypuścił dopiero, gdy jego stopy dotknęły ziemi. Zorientował się, że kurczowo zaciska powieki. Pospiesznie otworzył oczy i rozejrzał się dookoła. Autobus stał na środku niestrzeżonego przejazdu kolejowego. Nieopodal, na trawie pokrytej śniegiem, siedzieli młodzi chłopcy w rozpiętych kurtkach. Do jego uszu dobiegło głośne „Ojcze Nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...” To ksiądz Krzysztof rozpaczliwie modlił się, uderzając czołem o ziemię.

Konrad szybko pobiegł w kierunku autobusu. Słońce odbijało się w kawałkach rozbitego szkła, leżącego przed maską pojazdu. Od czasu do czasu ktoś miękko lądował na ziemi, chwając bądź przeklinając Boga. Kilku nastolatków pomagało wychodzić tym, którzy bali się wyskakiwać przez okno. Nagle usłyszał ciche „Pospiesz się, dziadku!”, poczuł gwałtowny podmuch powietrza, a po chwili coś ciężko upadło kilka metrów od niego. Konrad spojrział w tamtą stronę. Na betonie leżał nieprzytomny staruszek w granatowej

kurtce. Obok niego klęczała około siedemdziesięcioletnia kobieta, prawdopodobnie jego żona.

- Ratunku! - krzyczała. - Niech mi ktoś pomoże!

Przewodnik obojętnie patrzył, jak jej mąż powoli zamyka oczy. Po jego czole spłynęła strużka krwi i kapnęła na oblodzony beton. W oczach kobiety zaszklily się łzy. Błyskawicznie obok niej pojawił się ksiądz Krzysztof.

- Pomogę pani - powiedział. - Na trzy. Raz, dwa... Trzy!

Konrad otrząsnął się z otępienia i zbliżył do autobusu. Wszyscy uczestnicy wycieczki znajdowali się już poza terenem bezpośredniego zagrożenia. Mężczyzna wyciągnął telefon komórkowy, żeby zadzwonić po pomoc. Już chciał wystukać 112, gdy ekran urządzenia kilkakrotnie zamigał, po czym zgasł. Mężczyzna podbiegł do pana Andrzeja i polecił mu zadzwonić po pomoc.

- Proszę księdza, czym my zawiniliśmy! - lamentowała jakaś staruszka.

- Dlaczego my? - zapytał ktoś inny. - Przecież jechaliśmy do świętego miejsca. Na Jasną Górę!

- Niezbadane są wyroki Boskie - odpowiedział tajemniczo ksiądz Krzysztof, pochylając się nad poszkodowanym staruszkiem.

Konrad podszedł do stojącej niedaleko kobiety. Chciał ją pocieszyć, dodać otuchy, lecz głos uwiązł mu w gardle. Nie potrafił pomóc.

- Dziadku! Dziadku! Gdzie jesteś? - usłyszał zrozpaczony głos piętnastoletniej dziewczyny.

- Co się stało? - zapytał, uśmiechając się.

- Mój dziadek... - szepnęła zapłakana. - Nie mogę go znaleźć. Wyskoczyłam na początku, jak pan kazał, a on... Myślę, że został w środku. Próbowałam go obudzić, gdy się zatrzymaliśmy, ale jego nic nie jest w stanie obudzić. Mama mówiła, że nawet wojsko maszerujące pod jego oknem nie mogłoby wyrwać go ze snu.

Konrad szybko się rozejrzał. Rzeczywiście brakowało jednej osoby. Nagle usłyszał gwizd pociągu. Obejrzał się w prawo. Jego oczom ukazał się niewyraźny zarys lokomotywy. Inni też najwyraźniej ją zauważyli, bo do uszu mężczyzny doleciał pomruk zadowolenia.

- Zdążyliśmy - wydyszała starsza kobieta podpierająca się kawałkiem drewna. Chyba miała zwichniętą kostkę.

- Jesteśmy uratowani! - krzyknął jeden z nastolatków.

- Bogu niech będą dzięki - odezwał się ksiądz Krzysztof.

Pociąg był coraz bliżej.

- Hej! Podsadźcie mnie - Konrad zwrócił się do grupki mężczyzn.

- No coś ty, chcesz zginąć? - odezwał się jeden z nich. - Nie zdążysz.

- Podsadźcie mnie czy nie?! - krzyknął na nich. - Tam ktoś został!

- Przecież wszyscy...

- Ok - przerwał mu inny - ale jak zginiesz, to nie będzie nasza wina.

Wśród dźwięków otoczenia wyraźnie przebiegał stukot kół nadjeżdżającej maszyny.

Konrad, dzięki pomocy kilku mężczyzn, dostał się do wnętrza autobusu. Od razu zauważył staruszkę siedzącego na jednym z tylnych foteli. Mężczyzna trząsał się z zimna albo ze strachu. A może jedno i drugie.

- Proszę pana! - zawołał przewodnik. - Niech pan wychodzi. Prędko!

Staruszek zdawał się nie słyszeć jego słów. Z przerażeniem w oczach przyglądał się lokomotywie. Dało się już rozpoznać numer pociągu. 62136.

Konrad doskoczył do ostatniego pasażera i mocno uderzył go w policzek. Mężczyzna wstał, zachwiał się i z powrotem opadł na fotel. Spojrzał na przewodnika ze zdziwieniem.

- Musi pan szybko opuścić pojazd - powiedział wolno młodszy mężczyzna. - Sytuacja jest opanowana, ale wciąż grozi panu niebezpieczeństwo. Widzi pan, tam jest wyjście - wskazał ręką w kierunku wybitej szyby. - Niech pan się spieszy!

Konrad odsunął się, by przepuścić staruszkę. Ten szybko podniósł się z miejsca, precyzyjnie obok przewróconego bagażu i pobiegł do wyjścia. Konrad obrócił się w prawo. Zobaczył plecy mężczyzny znikające poniżej tablicy rozdzielczej. Z zewnątrz dobiegały okrzyki radości i dziękczynne modlitwy.

- Dziękujemy Ci, Wszechmogący Boże, za to, że wybawiłeś nas od tragicznej śmierci...

Przewodnik spojrział w lewo. Pociąg nieubłaganie zbliżał się do autobusu. „Mam czas - pomyślał - dużo czasu.” Spokojnie cofnął się kilka kroków. Odmierzył rozbieg. Nagle spostrzegł, że pośrodku przejścia leży podręczny bagaż jednej z uczestniczek wycieczki. Schylił się, żeby go podnieść. Do jego uszu dobiegły przytłumione głosy zgromadzonych przed autobusem pielgrzymów.

- Chwalcie łąki umajone - śpiewali - góry, doliny zielone. Chwalcie cieniste gaiki...

Dalsze słowa pieśni zagłuszył stukot kół pociągu. Konrad obrócił się w lewo. Ujrzał światło.

A potem była już tylko ciemność.

„Kto ma rozum niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć.” (Apokalipsa św. Jana)